



Kryminał z myszką

51

Złota bransoletka

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ZŁOTA BRANSOLETA

Kryminał z myszką – Tom 51

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-45-4

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1958, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Było już wpół do siódmej, a do dużego sklepu komisowego na Nowym Świecie wciąż jeszcze napływali klienci. Tłoczyli się przy ladzie, pochłaniali wzrokiem futra, telewizory, kolorowe gąbki i krawaty, pytali o cenę, czasem próbowali się targować i – zmiażdżeni wyniosłym uśmiezkiem ekspedientów (tu nie bazar, proszę pana!) – miękli, wyciągając różowe setki z portfela. Wielu jednak nie kupowało niczego. Przychodzili po prostu popatrzeć. Chłopcy w wieku szkolnym wpatrywali się roziskrzonymi oczami w nowiutkie watermanny i parkery, połyskujące złotą stalówką. Kobiety oburzały się na wysokie ceny lub szeptały coś do siebie, chłonąc wzrokiem różowe słoiki z kremem Ponds'a czy Elisabeth Arden, po sto kilkadziesiąt złotych za słoik.

– Taki sam moja kosmetyczka sprzeda pani za dwadzieścia złotych – powiedziała przysadzista blondynka do stojącej obok szczupłej pani w kożusku. – Na czystym smalcu i żółtkach. Tylko ona nie nazywa się Elisabeth Arden, a po prostu Kowalska. I tyle! – wzruszyła ramionami.

Szczupła pani westchnęła cicho. Któż by to ze zwykłego smalcu potrafił zrobić takie różowe, pachnące cudo, po którym skóra na twarzy jak aksamit. Nie uwierzyła blondynce.

Kierownik sklepu, Andrzej Zadrożny, spojrzał wymownie na zegarek, a potem na wysokiego, przystojnego ekspedienta w dziale futer.

– Zaraz siódma – mruknął. – Panie Jurku, zamykamy! Wywalaj pan te baby. – Ostatnie zdanie wypowiedział samymi wargami, ścisząc głos do szeptu.

Ekspedient Jerzy Cichoń uśmiechnął się sennie do niezdecydowanej klientki, która zastygła w podziwie nad brązowym puszystym zwojem nylonowych „misiów”.

– Dziewięć tysięcy, proszę pani – rzucił od niechcenia.

I tak nie kupisz, po co tracimy czas – pomyślał, wpatrując się w nią wąskimi zielonymi oczami.

Klientka zaczerwieniła się lekko i odsunęła „misie” z zakłopotaniem.

– Nie podobają mi się – usiłowała zachować równowagę. – Przyjdę za jakiś czas, może będzie pan miał coś lepszego.

– Proszę uprzejmie! – zawiesił futro na ramiączku. Był zawsze bez zarzutu wobec klientów, lecz w duchu lekcewał ich straszliwie, o ile nie mieli pieniędzy na słone komisowe ceny. Imponowali mu tylko ci nieliczni, którzy przychodzili z grubo wypchanym portfelem, przymierzali niedbale i płacili bez zmruczenia oka. Dla tych przeznaczał specjalną kategorię uśmiechów i ukłonów. Cichoń bowiem cenił w życiu tylko pieniądze.

Klientka odeszła. Zadrożny zakręcił się w miejscu, wyjrzał na ulicę, chwilę stał zamyślony na środku sklepu, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do działu futer. Ekspedient zasunął oszklone drzwi długiej szafy i zbliżył się do niego jakby od niechcenia. Zetknęli się ramionami.

– Ma pan coś? – szepnął kierownik chowając twarz w jasne popielice.

– Za naszyjnik... – odparł Cichoń pochylając głowę nad srebrnym lisem.

– Ile?

– Dwanaście tysięcy. Idiotka, przyniosła same pięćdziesiątki. Wyglądam, jakby mi spuchło lewe ramię.

– Tsss... niedobrze! – Zadrożny skrzywił się. – Niech pan chowa równomiernie w obu rękawach.

– Boi się pan Zawadzkiego?

– Cholera go wie! Od pewnego czasu ma niedobre oczy, kiedy na nas patrzy. Może się czegoś domyśla...

– A pan ma coś?

– Sześć pięćsetek. Broszka i te fidrygałki złożone. Stara Szlemańska. Baba ma forsy jak lodu.

Ekspedient wydał ładne usta.

– Na co jej biżuteria? Próchno, nad grobem stoi, zębów nie ma, tylko mamle tymi szczękami. Mogłaby sobie choć wstawić nylonowe.

– Cicho pan bądź! To nasza najlepsza klientka. Broszka miała fałszywy kamień...

Obaj parsknęli śmiechem. Zadrożny wyprostował się i odwrócił. Za nim stał drugi ekspedient, Zawadzki.

– Chciałem zapytać, panie kierowniku, czy mógłbym jutro przyjść trochę później – powiedział patrząc gdzieś w bok. – Żona mi zachorowała i mam kłopot z dzieckiem.

Zadrożny odetchnął z ulgą.

– A dobrze – odparł. – To dlatego chodzi pan ostatnio taki niewyraźny? Trzeba mi było od razu powiedzieć, zwolniłbym pana na dzień czy dwa. Czekał pan, właściwie... – spojrzał pytająco na Jerzego. Ten skinął głową. – Może pan nawet jutro w ogóle nie przyjść. Damy sobie jakoś radę. No, leć pan do domu!

Był teraz życzliwy, chętny do udzielania pomocy, bo znalazł powód, dla którego tamten wzbudzał w nim ostatnio niepokój.

– Dziękuję panu. – Zawadzki pożegnał się i wyszedł do małego pokoiku za sklepem, gdzie chowali płaszcze i grzali sobie herbatę na elektrycznej maszynie. Przy umywalni młoda kasjerka myła ręce, przecierając pumeksem palce zaplamione atramentem. Kasę miała już przeliczoną, spieszyło jej się do kina.

– Panie Dzwoniec! – krzyknęła wychylając głowę do sklepu. – Gdzie pan chowa czyste ręczniki? W tę brudną szmatę nie można już rąk wycierać.

Posługacz sklepowy, Jan Dzwoniec, odstawił miotłę i wszedł do pokoiku. Był nieduży, chudy i na lewym oku miał czarną opaskę, wymowny dowód swego inwalidztwa.

– Zaraz się zrobi – szepnęła otwierając małą szafkę, w której przechowywał różne utensylia gospodarcze. – Proszę, jest czysty ręcznik. A tamten zabiorę, to się wypierze.

– Idzie pan do domu? – spytała kasjerka Zawadzkiego.

Nie odpowiedział. Szybkim, chciwym wzrokiem rozglądał się po pokoiku, jakby go pierwszy raz widział. Zajrzał do szafki, potem za wieszaki i stuknął parokrotnie zgietym palcem w ścianę.

– Czego pan szuka? – zdziwiła się. – Wczorajszego dnia? – zachichotała.

Odburknął coś i przyjrzał jej się podejrzliwie. Potem wpakował ręce w kieszenie płaszcza i nie żegnając się wyszedł na ulicę.

– Chamidło... – wzruszyła ramionami, trochę zła. Chciała, żeby ją wszyscy lubili, miała dopiero dwadzieścia cztery lata i świat wydawał jej się wciąż jeszcze ogromnie sympatyczny.

Powiesiła ręcznik i wróciła do sklepu. Zdała kasę kierownikowi.

– Zaniesie pan za mnie do banku? – przymilała się, niespokojna, że odmówi. – Tak się boję zawsze, że mnie kto napadnie!

– Zaniosę – odparł Zadrożny niecierpliwie. – Niech już pani idzie, bo on pewnie czeka przed kinem.

– O, zaraz jakiś „on”! – oburzyła się wdziewając szybko palto (a nuż się rozmyśli?). Chwyciła torebkę, krzyknęła: – Do widzenia! – i już jej nie było.

– Taaak... – Zadrożny rozejrzał się po sklepie i zamknął drzwi wejściowe. Na ulicy posługacz powoli, z wysiłkiem, odkręcał żelazną kratę.

– Chodźmy! – powiedział przystojny ekspedient gasząc światło. Przeszli do pokoiku. – Szybko, niech pan się śpieszy, póki Dzwoniec nie wróci.

– Ech, ta łajza... – Zadrożny wzruszył ramionami. – On nigdy niczego nie zauważy. Pełno śmieci zostawia po kątach.

Wspólnie odsunęli małą szafkę. Za nią w ścianie widniały szare metalowe drzwiczki wielkości dwóch dłoni. Wyglądały zupełnie tak, jakby za nimi znajdował się licznik elektryczny czy gazowy.

– Swoją drogą, piekielnie ryzykujemy! – mruknął Cichoń nasłuchując, czy posługacz nie wraca. – Tyle razy panu mówiłem, że lepiej byłoby trzymać to w domu albo gdzieś na mieście.

Zadrożny rzucił mu przelotne, drwiące spojrzenie. Doskonale wiedział, o co tamtemu chodziło. „W domu”, to znaczy u jednego z nich i dlaczegóżby nie u ekspedienta? Jakże łatwo potem upozorować kradzież czy nawet cały napad z włamaniem! Nie dowierzał swemu współnikowi. Właśnie tu, przy sklepie, było najpewniej, w tej skrytce, do której tylko Zadrożny miał klucz.

Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. W długim, wąskim schowku poukładane były pudełeczka z pierścionkami, trochę obcej waluty, parę zegarków wysokiej jakości i gruby pakiet stu- i pięćdziesięciotówek. Oddzielnie, zawinięta w bibułkę, leżała szeroka złota bransoleta.

– Dawaj pan te dwanaście tysięcy! – Odebrał od ekspedienta pieniądze, przeliczył i wsunął do schowka, dodawszy to, co sam utargował. Potem wyjął z kieszeni dwa pudełeczka z pierścionkami, których nie udało mu się sprzedać. Jerzy dorzucił dwa zegarki.

– Potrzebuję forsy – szepnął oglądając się, bo skrzypienie ściąganej kraty nagle ustało.

– Jutro po zamknięciu sklepu – odparł Zadrożny, podnosząc się i otrzepując pył z kolan. – Zostaniemy niby na przegląd futer.

Po zamknięciu... Cichoń zagryzł wargi. Pieniądzy potrzebował najpóźniej na jutro rano.

Zasunęli szafkę. W tej samej chwili Dzwoniec wszedł do pokoiku.

– Już pan sprzątnął? – zapytał kierownik myjąc ręce.

– A już, panie kierowniku – cicho odpowiedział inwalida.

Zadrożny spojrzał na niego z roztargnieniem. Zobaczył, że Dzwoniec chodzi w podartych, rozkładanych buciorach, i pomyślał, że trzeba mu będzie jednak dorzucić coś niecoś do tych sześciuset złotych pensji. Dorzucić, naturalnie, z własnej kieszeni. Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, które od pewnego czasu rozmawiało z nim tylko tonem głębokiego wyrzutu, wytarł ręce i nałożył płaszcz.

– Czy mógłby mi pan pożyczyć dwa tysiące złotych? – zapytał Cichoń. – Do jutra tylko... Przecież... – urwał znacząco.

– Niestety, nie mam przy sobie – odparł kierownik. – Zgapił się pan – syknął przez zęby. – Trzeba było przedtem...

– A z utargu sklepowego? – rzucił ekspedient z beczelną miną.

– Coś pan zwariował?! – oburzył się Zadrożny. – Przecież to wszystko muszę odnieść do banku. Siedzieć mam za pana czy co?

W oczach przystojnego ekspedienta zapalił się gniew. Przymknął na chwilę powieki. Gdy zdejmował płaszcz z wieszaka był już jednak spokojny i opanowany. Pożegnali się, po czym kierownik wraz z Dzwoncem, sapiąc i pomrukując, założyli ciężką sztabę, zamknęli kłódkę. Zadrożny schował do kieszeni klucze i postawiwszy kołnierz, bo wieczór był mroźny, szybkim krokiem poszedł w stronę Świętokrzyskiej. Dzwoniec mieszkał na Czerniakowie, więc rozstali się już przed sklepem.

*

Maria Zadrożna ciężko podniosła się z fotela. W kuchni na palniku gazowym gniwnie podskakiwała pokrywka od imbryka i kłęby pary wydobywały się wszystkimi możliwymi otworami.

– Nastawisz, a potem nie uważasz i woda kipi – powiedziała Maria do swej czternastoletniej córki. – Imbryk się przepali.

– Tato kupi nowy! – odrzuciła Joanna i roześmiała się. – Taki z gwizdkiem, zagraniczny. Tato mi wszystko kupi!

Zadrożny wyjrzał spoza numeru „Życia Warszawy”.

– Będzie wreszcie ta kolacja? – zapytał. – Jeść mi się chce. Czekam już godzinę.

– Czekasz najwyżej kwadrans. Nakrywaj, Joanno! – Maria pobrzękiwała w kuchni talerzami i nakładała na półmisek szynkę, baleron, ser emmenthaler i suchą „myśliwską”. Andrzej lubił jeść dużo i dobrze. Zawahała się, potem sięgnęła po patelnię.

– Usmażę jajecznicę – powiedziała. – Joanno, dla ciebie też?

– Nie, mamusiu, dziękuję...

Uczennica siódmej klasy zaczynała już dbać o linię. Moda szkolna nakazywała obecnie nie jadać kolacji. Kolacja była przeżytkiem, wymysłem rodziców, bezsensownym „zapychaniem kałduna” – jak określił Krzysiek, którego połowa klasy uwielbiała za zieloną skórzaną wiatrówkę, a połowa za niezwykłą znajomość tajników jazzowych. Joanna jadła kolację, ze wstydem wyłamywała się spod okrutnej tyranii, ale z czegoś trzeba było, dla spokoju sumienia, zrezygnować. Na przykład z jajecznicy – od tego podobno się tyje, nie cierpiała jajek.

– Mogę nastawić coś dla siebie? – spytała ojca przekręcając gałkę radia na krótkie fale. Na przyzwalające mruknięcie błyskawicznie przesunęła strzałkę na którąś z radiostacji amerykańskich. Przeraźliwie rozkrzyczała się trąbka.

– Joanno, zlituj się! – Maria zatkała uszy.

– Mamo, to przecież Armstrong... Wciąż ci mówię i mówię, a ty nic nie pamiętasz.

– Do końca życia nie rozróżnię tych twoich samb, mamb i rock and rollów – mruknęła Maria. – Zapamiętałam tylko, że jak komuś z orkiestry się odbija, wtedy jest mambo.

– Joannie się odbija? – znad gazety wyjrzało niespokojne niebieskie oko. – Daj jej trochę sodы.

Obie roześmiały się.

– Tato jak czyta, to jest nieprzytomny. Ale i tak rozpoznaje Armstronga i nie pomyli go z Ellingtonem czy Goodmanem.

Gdy chodziło o jazz, Joanna była nieubłagana. Za punkt honoru postawiła sobie wyszkolić rodziców przynajmniej tak, aby orientowali się w najbardziej podstawowych sprawach jazzowych. Z ojcem szło jako tako; w rzeczywistości nauczył się po prostu głuchnąć, gdy wsadzał nos w gazetę, i zapytany o jakiś utwór czy nazwisko, odpowiadał na chybił trafił. Czasami nawet trafnie...

Z matką natomiast było o wiele gorzej. Wciąż jeszcze zatykała uszy albo wstrząsała się nerwowo. Kiedyś nawet, w przystępie rozpacz, wykręciła po cichu dwie lampy w odbiorniku i przez parę dni rozkoszowała się błogą ciszą. Potem Joanna sprowadziła Krzyśka, który przywrócił radiu jego normalny wrzask.

Dzisiaj jednak Joanna miała respekt przed matką. Przydarzyły jej się w szkole różne nieprzyjemne rzeczy, które znalazły swój wyraz w dzienniczku. Należało więc politykować. Zrezygnowała z Armstronga i z pobłażliwym westchnieniem nastawiła Warszawę: „Z kraju i ze świata”.

– Wiesz, Marysiu – powiedział Zadrożny, nakładając ser na kawałek bułki paryskiej – jutro będę mógł ci dać pieniądze na tę belgijską froterkę z odkurzaczem.

– To świetnie. Dostałeś premię?

– Coś w tym rodzaju. Zresztą, co ci do tego?

Nie pytała więcej. Wierzyła mężowi bez zastrzeżeń, a on nie miał zwyczaju wtajemniczać jej w swój pokątny handel. Gdyby знаła bliżej obroty tego handlu i udział

męża w zyskach, mogłaby się zdziwić, że dopiero teraz otrzyma pieniądze na od dawna oczekiwaną froterkę. Gdyby знаła...

Zadrożny miał swoje wydatki, o których żona nie musiała wiedzieć. Uważał, że ta ilość pieniędzy, którą daje na dom (a nie było to mało), powinna w zupełności na wszystko wystarczyć.

Na zegarze ściennym w stołowym pokoju, gdzie sypiał Andrzej, wybiła dziesiąta.

– Joanno, spać! – powiedziała Maria. – I umyj zęby.

– Zaaraz... – przeciągnęła Joanna pochłaniając ostatnie kartki książki. Zawsze targowała się o późniejsze chodzenie spać; nerwowa i wrażliwa, najlepiej czuła się wieczorem i zdawało jej się, że nigdy nie zaśnie przed północą. Zasypiała zresztą niemal natychmiast.

– Nie zaraz, tylko już! – zaprotestowała Maria. – Co wieczór ta sama historia. Idź do łazienki! Ja też chcę się położyć.

W pokoju Marii, która spała z córką, dawno już zgasło światło, a Zadrożny wciąż przewracał się z boku na bok na miękkim tapczanie i nie mógł zasnąć. Pamięć przywodziła na myśl gniewny wzrok Cichonia, gdy odmówił mu pożyczki, a opowiadanie Zawadzkiego o chorej żonie wydało mu się teraz błagą, jakimś podejrzanym wykrętem.

Czy on w ogóle jest żonaty? – zastanowił się i aż usiadł z wrażenia. – Nigdy o tej żonie nic nie mówił. A jeżeli to kłamstwo, jeżeli podpatrzył i...

Zapalił nocną lampkę. Spojrzał na zegarek: było wpół do dwunastej. Spuścił nogi z tapczanu, drapał się i czochrał wzdychając z niepokojem. Zobaczył w wyobraźni Jerzego Cichonia, jak wraca – właśnie w tej chwili – do sklepu, jak otwiera kłódkę zapasowym kluczem (mógł go podrobić w okresie, kiedy Zadrożny miał grypę i Cichoń go zastępował), wchodzi do pokoiku, sięga do skrytki, wyjmuje pieniądze, biżuterię...

– Idiotyzm! – mruknął do siebie. – Zresztą, jeśli w tej chwili to robi, to i tak już za późno. Zanim przyjdę, ulotni się.

Strasznie mu się nie chciało wychodzić z ciepłego łóżka na mróz. Tak. Ale jeżeli Cichoń właśnie ubiera się, wkłada płaszcz, zamyka drzwi od mieszkania i...

– Boże drogi! – westchnął wsuwając bose nogi w pantofle. Poczłapał do okna i odsunął brzeg firanki. W świetle latarni śnieg iskrzył się na chodniku i chrząścił pod nogami nielicznych, zapóźnionych przechodniów.

Wstrząsnął nim dreszcz chłodu. Spojrzał z tęsknotą na rozrzuconą pościel. Przez drzwi usłyszał, jak Joanna poruszyła się na łóżku, mamrocząc coś przez sen. Joanna... Obiecał jej kupić futerko z nylonowych „misiów” i po prostu zapomniał. A w sklepie są właśnie takie śliczne, nieduże, paryskie „misie”. Znał klientkę, która przyniosła je w komis; zawsze miała najładniejsze rzeczy i zawsze francuskie.

Przyszło mu na myśl, że jeżeli Cichoń okradnie skrytkę, to on nie tylko nie kupi futerka ani nie da żonie na belgijską froterkę, ale zabraknie mu w tym miesiącu na utrzymanie domu. Maria dostała pieniądze na pierwsze dziesięć dni, a dziś był już siódmy. Przy dość wystawnym trybie życia, jaki prowadzili, pensja kierownika nie wystarczała nawet na pół miesiąca.

Tak czy owak, trzeba było iść. Ubierał się szybko, uważając, aby nie sprawiać hałasu. Maria miała lekki sen, a nie chciał się tłumaczyć.

Gdy wyszedł na ulicę, mróz błyskawicznie uszczypnął go w nos, przejął dreszczem i wycisnął łzy z rozespanych oczu. Przyspieszył kroku. Nagle opanował go dziwny lęk. Przed czym? Przed utratą pieniędzy czy też... A jeżeli Cichoń tam będzie, to co wtedy? Poczul raptem, że boi się tego wysokiego, silnego ekspedienta. Nie miał przy sobie żadnej broni, nic, czym mógłby w razie czego...

Co za bzdury! – zachnął się. – Przecież to w gruncie rzeczy dobry chłopak i potrafi się z nim dogadać. Ostatecznie, możemy od razu podzielić zyski, nie czekając jutra. Ostatecznie, można mu dać te dwie, no – trzy setki więcej. Młody jest, babiarz.

Znów przyspieszył kroku. Ale dziwne, niewytłumaczalne uczucie strachu nie chciało od niego odejść.

A jeżeli przyjdzie Zawadzki – myślał. – Co wtedy zrobić, jak się wytłumaczyć? Wciągnąć go do spółki? Nie potrafi i zepsuje interes. Ale dlaczego, u licha, w ogóle ma ktoś przyjść? Skrytkę założyli z Cichoniem jeszcze w listopadzie, a teraz był styczeń. Tylko że jeszcze nigdy nie było w niej tyle pieniędzy, co dziś. Kto o tym wie? Tylko ja i Cichoń – pomyślał, co go bynajmniej nie uspokoiło.

Dojrzał z daleka ciemne, okratowane okna sklepu. Ulica była pusta. Podeszedł, dotknął palcami kraty i syknął cofając rękę. Zapiekło jak ogień. – Ty ośle! – mruknął. – Gołą ręką do metalu, w taki mróz.

Wszedł w podwórze. Skręcił w prawo i zamarł w bezruchu. Stał tak jakiś czas, z bijącym sercem, czując strugi potu oblewające mu kark i plecy.

Na ziemi leżała kłódka, a obok niej sztaba. W wąskiej szparze pod drzwiami małego pokoiku Zadrożny dojrzał nikłe, poruszające się światelko. – Latarka – pomyślał. – Nawet nie zasłonił szpary, widać pewny swego. Ogarnęła go wściekłość. – Ach, piękny paniczyku! – zżuł w zębach grube przekleństwo. – Zaraz się rozprawimy. Pieniądzy mu trzeba, nie mógł zaczekać do jutra... Kanalia! Dziwkarz!

Schylił się macając pod murem. Wygrzebał spod śniegu parę cegieł, wybrał jedną i zacisnął w ręce. Podesunął się zwolna pod ścianę. Gwałtownym ruchem targnął za klamkę, konstatuując jednocześnie ze zdziwieniem, że drzwi nie były zamknięte na klucz. To spotęgowało jego gniew. Wskoczył do środka. Światło latarki drgnęło, zamigotało po ścianach i zgasło. W tym migotaniu Zadrożny ujrzał jeszcze, jak jakaś postać, skulona obok skrytki, zrywa się i odwraca twarz w jego stronę...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI